Paweł Freebird Michaliszyn

Opowieści nie tylko bluesowe

VON HERTZEN BROTHERS

Dziś chciałem opowiedzieć krótko o zespole i o płycie, od której nie mogę się uwolnić od ubiegłego roku. Chowam ich płyty po kątach, aby choć na chwilę zapomnieć i odpocząć. Na nic to wszystko, codziennie to coś do mnie wraca. No więc myślę, że może wtedy, kiedy podzielę się swoimi odczuciami, zrzucę trochę tego ciężaru. Wszystkie ich albumy ocierają się o geniusz, ale granice niemożliwości przekroczyli płytą: „Love Remains The Same". Dwie kompozycje zamykające to arcydzieło, rozcinający skórę *I Came For You* i bezlitosny *The Willing Victim* zostawiają bolesny niedosyt. Po czymś takim doprawdy trudno wspiąć się wyżej. Mikko von Hertzen obala wszelkie wokalne stereotypy. Jeden z moich przyjaciół, znakomity polski wokalista, powiedział o nim w taki sposób: *On zaczyna tam, gdzie ja muszę już skończyć*. To, co ten facet robi swoim głosem, musi być chyba jakąś anomalią. To nie jest śpiew, to dużo więcej.

W ubiegłym roku ukazała się ich najnowsza płyta. Zniewalający to album. Zachwycający, porażający. Album absolutny. Pełen furii. Pełen pierwotnej drapieżności; przesiąknięty jednak od początku do końca niewyobrażalną żałością. Wszak opowiada o wojnie i o okropnościach, jakie ona ze sobą ona niesie. Nie ma w tej muzyce nadętej pompatyczności, która przydarza się prawie zawsze, gdy artysta porusza tak trudny temat. Jest prawda. Słowno-dźwiękowa prawda bez krztyny mentorstwa (vide beznamiętnie użalający się nad losami świata Roger Waters). Von Hertzen Brothers przełamali bariery, tak muzyczne jak i słowne. To absolutnie pierwotne podejście do materii zwanej muzyką. Przychodzi mi do głowy identyczne postrzeganie dźwięku na wczesnych czterech albumach Led Zeppelin i wczesnym Rush. Von Hertzen Brothers udało się coś, czego inni ciągle szukają. Są objawieniem – zawsze wspaniali, ale albumem, „War Is Over", udowodnili światu, że ciężka rockowa progresja zarezerwowana jest wyłącznie dla najlepszych. Gęsta to muzyka, złożona z wielu warstw. Może przytłoczyć swą dzikością. Nie każdy podoła. Mam tego świadomość.

Trójka braci, zaklęła w swoje instrumentarium prawdziwie rockową magię. Nie ma dla nich nieznanych rejonów. Nic nie jest zakazane. Mają boży dar i w pełni go wykorzystują. Słuchając tego, przez głowę przelatują wirtuozerskie misteria Yes, australijskich Cog i The Occupants, czy wymienionych wyżej Led Zeppelin i Rush. To wszystko jest emocjonalnie autentyczne tak bardzo, że brzmi, jakby nigdy wcześniej nic podobnego się nie wydarzyło. Przy ogromnym ciężarze gatunkowym nie ma na tej płycie ani jednej chwili znużenia. Jest potężne, nieludzko zakręcone otwarcie, zawierające tyle pomysłów, że można by nimi obdarować setki innych. Jest niewiarygodnie cudny śpiew. Nabiera to wszystko tempa, i bardziej chodzi mi o emocje niż o to, z jaką siłą eksplodują kolejne pieśni. W końcu to opowieść o wojnie. Ale potrafią także dać chwilę wytchnienia. *Wanderlust* jest jak wejście z ognia w cudownie chłodną taflę jeziora. Ale to nie relaks. Nie przyniesie ukojenia. Na koniec serwują swoiste epitafium. Inaczej nazwać tego nie umiem. Prawie dziewięciominutowy monument z doboszem w tle i obolałym z rozpaczy głosem wokalisty – *Beyond The Storm*. Ci z rysami na

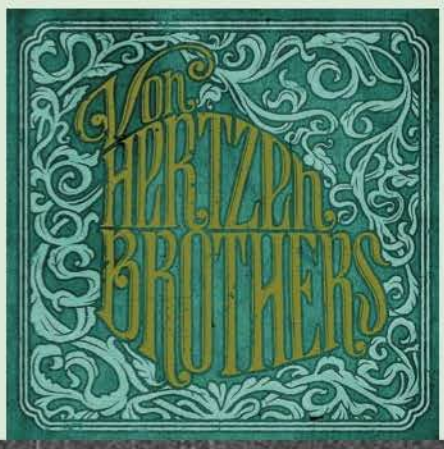

BLUES online bluesonline.pl